

OBEJMUJĘ
JĄ NAGLE,
ZACZYNAMY
SIĘ CAŁOWAĆ
JAK WARIACI,
PRZECIEŻ NIE
MOGĘ BEZ NIEJ
WYTRZYMAĆ
NAWET DWÓCH
TYGODNI,
CO MI ŁAZI
PO GŁOWIE,
CO MI
ŁAZI...

ANNA ONICHIMOWSKA

TRUDNE POWROTY

ALE RAZ POSIANE
ZIARNO
ZACZYNA ...
KIEŁKOWAĆ,
ROZRASTAĆ
SIĘ BEZ
MOJEJ
WIEDZY,
POZA ==
ŚWIADDO-
MOŚCIĄ,
ZŁA, " KOLCZASTA ROS-
TĄ W KORZENIACH. I
HOCHNOH O ANI



Anna Onichimowska

TRUDNE POWROTY
SAMOTNE WYSPY – TOM 3

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-87-3

Copyright © Anna Onichimowska

Projekt okładki: Olga Bołdok

Rozdział 1

„Czy do smarowania chleba używa pani margaryny czy masła?” – czytam na głos pytanie, widzę zdumienie w oczach dziewczyny, mruga, w kącikach jej ust drga uśmiech.

Wzruszam ramionami.

– To nie ja wymyśliłem...

– A kto?

Dociekliwa, cholera, dlaczego akurat ją musiałem zaczepić... Zerkam na zegarek. Za godzinę wykład. Muszę jeszcze dzisiaj przepytąć z piętnaście osób, żeby wyjść na swoje.

– Masła – pada nagle, zakreślam szybko odpowiednią kratkę, jeszcze tylko jeden punkt... – Przepraszam, to mój autobus... – słyszę, jej plecy oddalają się spiesźnie.

Musi jadać dużo warzyw i owoców. Wyglądała na zdrową, myślę, wstawiając krzyżyk w odpowiednie miejsce.

„Z ciebie jest, Gruby, ciekawy egzemplarz...” dźwięczą mi w uszach słowa Maćka. „Po kiego grzyba przepytujesz tych ludzi? Powstawiaj krzyżyki tu i ówdzie, przecież to będzie równie prawdopodobne, jak gdybyś naprawdę zadał te pytania”.

„Prawdopodobne nie znaczy prawdziwe”, odpowiedziałem wtedy. Zawisam nad wstawionym przed chwilą krzyżykiem.

„Pryncypialność też powinna mieć swoje granice”, tym razem przypomina mi się Baśka.

Do diabła z tym wszystkim, mnę w kulkę uzupełnioną przez siebie ankietę i wrzucam do kosza.

Przed wystawą z butami stoi ojczym Maćka. Dopadam go w dwóch susach.

– Dzień dobry. Przepraszam bardzo, mógłby mi pan odpowiedzieć na kilka pytań? To nie zajmie dużo czasu.

– Coś ty taki uroczysty? – Rafał szerzy zęby i jak zawsze, kiedy go widzę, ogarnia mnie zazdrość. Przydałby się mamie ktoś taki jak on.

Dwie minuty i już po krzyku, chowam do torby gotową ankietę, Rafał uśmiecha się znowu.

– Jeśli cię to urzęda, mogę też odpowiedzieć w imieniu Irenki. Waham się zaledwie ułamek sekundy, ale widocznie to wyczuwa.

– Znam jej upodobania, a ty będziesz do przodu...

– Dzięki – rzucam szybko, kolejna ankieta jest wypełniona, chyba rzeczywiście niepotrzebnie komplikuję sobie życie.

– Dawno u nas nie byłeś... – słyszę jego słowa, to raczej stwierdzenie niż próba wywiadu.

– Zalatany jestem – mówię cokolwiek i od razu robi mi się bardzo głupio.

Wyciągam rękę, ściska ją mocno.

Kolejnych pięć osób nie chce odpowiadać na żadne pytania, niezależnie od tego, czego by dotyczyły: aborcji, polityki czy spożycia pomidorów. I nie dlatego, że się spieszą – nie zamierzają ze mną rozmawiać i już. Ich prawo.

Liczę smętnie gotoweankiety: dwadzieścia dwie. Nie jest to oszałamiający rezultat. Wprawny ankieter potrafiłby w tym czasie... Nie wzbogacę się na tym zajęciu, to pewne. Przysiada się do mnie Paweł, odruchowo podsuwam mu ankietę, krzyżykuje bez słowa, większość z nas zarabia na tym samym.

– To pestka – mówi szeptem, bo właśnie wszedł profesor. – Ostatnio przepytywałem kobietki w przedziale trzydzieści-trzydzieści pięć na okoliczność stosunków pozamałżeńskich.

– No i jak? – Temat wciąż mnie bardziej niż dywagacje wykładowcy o Tomaszu z Akwinu.

– Parę propozycji. Nie wszystkie do odrzucenia – dodaje znacząco. Trafili w dziesiątkę, dając akurat jemu taki temat. Nawet nie muszę pytać o detale, i tak mnie nie ominą, nie byłby sobą, gdyby się nie pochwalił.

Próbuję notować, ale Paweł podsuwa mi zdjęcie. Faktycznie niezła, nie dałbym jej trzydziestki, ale diabli wiedzą, kiedy ją uwieczniono. Nie jest pruderyjna, oj nie, patrzę na jej topless, Baśka nawet przy mnie nie chce chodzić rozebrana. Ogarnia mnie fala tęsknoty, nie widziałem jej już trzy tygodnie, niech się wreszcie przeniesie do Warszawy, bo zbankrutuję na tych dojazdach.

„Też mogłaby zarabiać”, przypominam sobie słowa Ewki. Wpadła z Paryża zaledwie na tydzień, ale narobiła takiego zamieszania, że długo potem chałupa bez niej wydawała się wyludniona.

Właściwie jest wyludniona – myśli mi się samo – od kiedy ojciec wyniósł się na dobre...

„Baśka, Basia, Basieńka” bazgrzę w zeszycie. Moglibyśmy się pobrać. Nagle ten pomysł wydaje mi się najwspanialszy na świecie. Matka powinna się zgodzić, żebyśmy zamieszkali razem. W studiach nam to na pewno nie przeszkodzi, odwrotnie...

Czuję się jak Kolumb. Z trudem dociera do mnie, że wykład się skończył.

Spoglądam na notatki. „Baśka, Basia, Basieńka”. No tak. Najwyższy czas się pobrać.

Paweł ciągnie mnie do szatni na herbatkę.

– Nie masz pojęcia, jaki z niej numer – zaczyna już na schodach. – Mąż wychodzi do pracy, a ona...

Jakoś o tej porze jest pociąg do Łodzi...

– Sorry. Odpadam. – Klepię Pawła po plecach, świnia ze mnie, to pewne. Przed kim on się wygada?

– No co ty – próbuje protestować. – Jak nie chcesz herbaty, możemy iść na piwo... Ja stawiam.

Krezus, myślę sobie. Krezus-erotoman. Przypomina mi się, że przed filozofią był przez pół roku w klasztorze i wszystko staje się dla mnie jasne.

– Żenię się – mówię i na widok jego miny ryczę ze śmiechu.

– Dzisiaj? – Przygląda się podejrzliwie moim dżinsom.

– Nie do tego stopnia...

– Cholera... – Kręci ze współczuciem głową. – Nie mógłbyś się wywinąć?

– Chyba nie – rzucam przez ramię i wypadam na ulicę. Podjeżdża autobus.

Po chwili jestem na dworcu. Powinno mi wystarczyć na bilety w obie strony.

Muszę ją zobaczyć. Może wcale nie będzie chciała? Na samą myśl o tym robi mi się zimno, zresztą nie ma co zwalać na uczucia, rzeczywiście pochłodziło...

Z dworca dzwonię do domu. Matka nawet się nie dziwi.

– Uważaj na siebie – prosi tylko. Jak zwykle.

Uważam więc w kolejce po bilet, a potem w pociągu, uważam kupując bukietik konwalii, w zatłoczonym tramwaju...

Dzwonię trzy razy, pukam, no tak... Czego się właściwie spodziewałeś, chłopie? Że ona w ogóle się nie rusza z chałupy, tylko czeka, że może wpadniesz z Warszawy bez zapowiedzenia? Nie ma również jej starych... Przypominam sobie, że jej ojciec wyjechał gdzieś tam do sanatorium. Może matka wybrała się do niego w odwiedziny, popuszczam wodze fantazji i czuję falę podniecenia. Wyobrażam sobie, jak to będzie, gdy Baśka mnie zobaczy. Tak dawno nie byliśmy ze sobą...

*

Siadam na schodach i czekam.

Nie mam przy sobie nic do czytania oprócz świętego Augustyna. „Dobra wola jest dziełem Boga, zła wola to odsunięcie się od dzieła Bożego”, mój wzrok ślizga się po słowach, ale im dalej próbuję wejść w tekst, tym wydaje mi się odleglejszy od tego, o czym lubiłbym czytać.

Na dole trzaskają drzwi, słyszę znajomy śmiech, a zaraz potem kilka innych. Nie wiem, dlaczego to robię. Wbiegam piętro wyżej i obserwuję schody. Pierwsza pojawia się przyjaciółka Baśki, a zaraz za nią moje słoneczko w towarzystwie dwóch blondynów.

O co ci chodzi, kretynie, próbuję się uspokoić, ale bez skutku. Wyobraźnia pracuje mi na zdwojonych obrotach.

W pociągu fantazjowałem, jak to będzie. Dzwonię do jej drzwi, otwiera natychmiast i zamiera ze szczęścia. Nikogo nie ma w domu...

Wygląda na to, że tylko ten punkt się zgadza. Nikogo nie ma w domu... No, nie powiedziałbym... Z mieszkania dobiegają dźwięki muzyki. Niewielkie party... Cztery osoby... Do pary... Niespodziewanie zdaję sobie sprawę, jak niewiele wiem o jej życiu. Chyba głównie rozmawialiśmy o moim...

Przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie. Dworzec. Baśka w niebieskiej sukience, wpatrzona w Maćka. Bo chyba jednak była w niego wpatrzona... No i ja, z tymi moimi pierogami... Na samo wspomnienie ich zapachu zrobiło mi się niedobrze. Sprzedawaliśmy po kilkaset dziennie... Nagle czasy, kiedy biegałem w szatach Kriszny, wydają mi się odległe o kilka lat świetlnych. A przecież to było zaledwie rok temu... Być gliną w rękach Boga... Oj, Augustynie, cóż to za pomysł!

*

Dzwonię raz, potem drugi. Trzeci raz przyciskam guzik trochę dłużej niż by wypadło. Drzwi otwierają się gwałtownie.

Baśka mruga oczami, minę ma niewyraźną albo tak mi się wydaje. Mam gdzieś w torbie konwalie, pewnie już zwiędły, przygniecione Augustynem.

– Hej, Baśka...

Zawisa mi na szyi, przytula się, a ja stoję jak kołek, nie podobam się sobie coraz bardziej, to koszmarnie uczucie, kiedy nie można znieść samego siebie.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś? – szepcze mi do ucha. – Nie zapraszałabym nikogo, a tak... – Wykonuje wymowny gest w stronę pokoju. Na jego progu stoi jeden z blondynów i pali papierosa.

– Hej... – Zbliżam się, wyciągam rękę.

Uścisk jego dłoni jest taki, jak trzeba.

– Mój chłopak... – przedstawia mnie Baśka. Od razu czuję się lepiej, w gruncie rzeczy niewiele potrzeba mi do szczęścia.

– Grzesiek – dodaję szybko – albo Gruby, jak wolisz.

– Sie masz, Gruby... – Blondyn wybiera moją ksywkę.

Próbuję się wyluzować, ale jestem tu obcym ciałem. Wszyscy wiedzą, co jest grane, wiedzą, że czekam, żeby sobie poszli. Dowcipkujemy, sączymy piwko. Wolałbym coś mocniejszego, ale wygląda na to, że to jedyne, na co mogę liczyć. Idziemy z Baśką do kuchni, witamy się ponownie.

– Na długo przyjechałeś?

Nie wiem, dlaczego, ale jej pytanie wydaje mi się dwuznaczne.

– Jutro muszę wracać.

Obserwuję ją uważnie, nie wygląda na zadowoloną z odpowiedzi.

– Nie wiem, jak ich spławić... – Pokazuje pokój.

– Mogę założyć piżamę i przechadzać się ze szczoteczką do zębów.

– A masz piżamę? – Uśmiecha się, tak bardzo tęskniłem za tym uśmiechem.
 – Szczoteczki też nie mam...
 – W takim razie odpada.
 – Co to za ludzie?
 – Ten z wąsami to chłopak Hanki, studiuje coś tam na politechnice, a ten drugi... szczerze mówiąc, nie wiem dokładnie. Jakiś jego koleś. Widzę go drugi raz w życiu.
 – O raz za dużo... – wrywa mi się, Baśka parska śmiechem, przytula się do mnie.
 – Zazdrosny?
 Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłaby mnie zdradzić. Nigdy dotąd. Cóż za brak wyobraźni... Nie, to nie tak. Bezgraniczne zaufanie. Cudowne uczucie pewności.
 Ale przecież nie studiuje bez przerwy. Musi mieć jakieś życie prywatne. Widujemy się raz na dwa tygodnie, czasem częściej. Czy to jej wystarcza?
 Po coś przecież tu przyjechałeś, idioto, przypominam sobie cel mojej wizyty, sięgam po torbę, wyciągam konwalie. Wyglądają jak zielsko spod płotu zdeptane przez krowy.
 – Co to jest? – Baśka przygląda im się ze zdumieniem.
 Zaręczynowy bukiet, myślę i parskam śmiechem.
 – Wywal to... – Wzruszam ramionami. – Nawet nie umiem ci dać ładnych kwiatów...
 Całuje mnie na pocieszenie.
 – Ale zrobiłeś mi niespodziankę...
 – Z bukietem? – Wykrzywiam się smętnie.
 – Ze sobą.
 – No, co tam z wami? – Do kuchni wpada Hanka. – Mamy się zmywać, czy dołączacie do imprezy?
 Baśka obejmuje ją, szepcze coś do ucha.
 – Nie ma sprawy... – Hanka podchodzi do mnie, podaje mi rękę. – Do następnego, Romeo. A swoją drogą mógłbyś nie robić jej takich nalotów. Telefonu nie masz, czy co?
 – No coś ty, Hanka... – Baśka puka się w czoło, wypycha ją z kuchni. – Pewnie jutro nie przyjdę... – dobiega mnie z korytarza.
 Jeszcze tego by brakowało, myślę i nagle zdaję sobie sprawę, jakim jestem egoistą. Organizuję jej życie, jak mi się podoba.
 – Przepraszam, Baśka... – mówię. – Hanka ma rację.
 – Nie ma... – Siada mi na kolanach, przytula się mocno. – Nie ma, naprawdę...
 – Wyjdiesz za mnie? – rzucam szybko, tak szybko, że już sam nie wiem, czy naprawdę powiedziałem to głośno.
 – Jasne... – Śmieje się. – Ale dzisiaj już chyba za późno.
 Jakby na zawołanie zegar wybija dwunastą.
 – Pytam serio. – Odsuwam ją od siebie.
 Nie, to niemożliwe... W jej oczach zamiast radości jest strach. Nie mogę się mylić. Niestety, nie.
 – Co się stało? – mój głos wydobywa się jak ze studni. – Co jest, Baśka?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI